

PAUza

Akademicka



Rok VIII

Nr 338–339

Tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności

pauza.krakow.pl

Kraków, 28 kwietnia – 5 maja 2016

pau.krakow.pl

Kolegia akademickie

Ogromna potrzeba istnienia uczelni formujących elity intelektualne kraju („PAUza Akademicka” 329/2016) nie pozostaje w sprzeczności z koniecznością funkcjonowania uczelni kształcących w skali masowej. Ważną rolę w tym masowym kształceniu powinny, moim zdaniem, spełniać *kolegia akademickie*, jako istotne uzupełnienie oferty tradycyjnego kształcenia uniwersyteckiego¹.

Polskie uczelnie wyższe zadziwiają szerokością swojej oferty – można studiować na przykład: kosmetologię, oceanotechnikę, socjologię techniki i ekologii, doradztwo filozoficzne i coaching, militarystykę historyczną, zarządzanie wiedzą i infobrokeringiem, wiedzę o teatrze. I to nie jako pojedyncze przedmioty, ale całe kierunki studiów. To wąskie, rzadko spotykane w świecie wyspecjalizowanie zderza się zarówno z szybko zmieniającym się zapotrzebowaniem społeczeństwa i gospodarki na specjalistów, jak i z częstym niezdecydowaniem maturzystów co do tego, co chcieliby w życiu robić. Ci ostatni, nie bardzo wiedząc na jaki kierunek studiów się zdecydować, często wybierają studia, które wydają się im dostatecznie ogólne, a jednocześnie niezbyt trudne. Stąd jesteśmy rekordzistami świata, jeżeli chodzi o procent populacji studiującej na przykład pedagogikę. Skutki konfrontacji późniejszych absolwentów z rynkiem pracy dobrze znamy.

Odpowiedzią na problemy wspomniane powyżej może być tworzenie kolegiów akademickich wzorowanych na amerykańskich uczelniach typu college, stanowiących uzupełnienie oferty studiów pierwszego stopnia przygotowujących do konkretnego zawodu. Kolegia takie oferowałyby multidyscyplinarne studia licencjackie. Mogłyby być wydzieloną częścią większego uniwersytetu, bądź stanowić odrębną uczelnię, nieprowadzącą badań naukowych, a koncentrującą się na dydaktyce.

Koncentracja programów nauczania w kolegiach akademickich na kształceniu uniwersalnych umiejętności intelektualnych, opartych na szerokim wykształceniu ogólnym i wybieranej w końcowej części studiów specjalizacji, może stanowić odpowiedź na wyzwania współczesnego rynku pracy, w tym na konieczność elastycznego przekwalifikowywania się w toku kariery zawodowej. Studia te różniłyby się zdecydowanie od tego, z czym mamy do czynienia obecnie. Nacisk byłby położony na przedmioty rozwijające osobowość studentów i umiejętność logicznego

myślenia. Studenci mogliby w dużej mierze kształtować swój program studiów, swobodnie dobierając przedmioty (z bardzo podstawowym minimum programowym). W ich doborze mogliby korzystać z rad tutorów, podobnie jak to jest w systemie anglosaskim.

Istotną cechą kolegiów akademickich powinno być ich powiązanie z lokalnymi potrzebami, a także z lokalną społecznością przez wpisanie w program studiów aktywności obywatelskiej i kulturalnej.

Kolegia akademickie przyjmowałyby absolwentów szkół średnich, podobnie jak uniwersytety i politechniki – w przypadku studiów pierwszego stopnia – albo wyższe szkoły zawodowe. Studia w typowym przypadku trwałyby trzy lata, ale można sobie wyobrazić ofertę również studiów czteroletnich, w których ostatnie dwa lub trzy semestry stanowiłyby bardziej konkretne przygotowanie do zawodu bądź do studiowania na kierunkach magisterskich oferowanych przez uniwersytety. Ten ostatni przypadek byłby możliwy przy pożądanym zmodyfikowaniu charakteru znacznej części studiów drugiego stopnia, które obecnie na ogół stanowią kontynuację kształcenia na poziomie licencjackim oferowanego na tej samej uczelni i na kierunku o tej samej bądź podobnej nazwie (wbrew oryginalnym intencjom procesu bolońskiego).

Powiązanie z lokalnymi społecznościami, szczególnie w mniejszych miejscowościach, mogłoby też służyć oferowaniu przez omawiane kolegia kursów i szkoleń w ramach modelu kształcenia przez całe życie. Absolwenci kolegiów akademickich mogliby uzupełniać swe kwalifikacje zawodowe także w ramach studiów podyplomowych czy kursów oferowanych przez inne jednostki edukacyjne.

Kolegia akademickie mogą być odpowiedzią na zapotrzebowanie na wysokiej jakości kształcenie ogólne, z naciskiem na przedmioty humanistyczne i społeczne, a także przedmioty kształtujące różnorodne, potrzebne w życiu zawodowym umiejętności, w tym znajomość języków obcych. Uzyskane w nich wykształcenie powinno być dobrą podstawą do uzyskania konkretnych kwalifikacji zawodowych w ramach dodatkowych kursów i szkoleń, a także do ewentualnego kontynuowania kształcenia na studiach drugiego stopnia. Kolegia takie mogłyby też pełnić znaczącą rolę kulturotwórczą i integracyjną, szczególnie w mniejszych miejscowościach.

ANDRZEJ JAJSZCZYK

Prezes Oddziału PAN w Krakowie

¹ *Strategia rozwoju szkolnictwa wyższego w Polsce do 2020 roku – drugi wariant*. Raport cząstkowy przygotowany przez konsorcjum: Ernst & Young Business Advisory oraz Instytut Badań nad Gospodarką Rynkową, marzec 2010.

Polityka historyczna? Dla mnie nie, dziękuję.

MARCIN KULA

Przeczytałem najpierw artykuł prof. Ryszarda Stemplowskiego *Ostrożnie z historią* („PAUza Akademicka” nr 335), następnie zaś polemikę z nim pióra prof. Lucjana Suchanka (*Ostrożnie nie z historią, lecz z autorami piszącymi o historii*, „PAUza Akademicka” nr 336). Nie mam takiej wiedzy z zakresu zagadnień państwa i prawa, jak prof. Stemplowski, ani takiej pewności siebie, jak jego polemista. W kontekście tej dyskusji pragnę jednak sformułować kilka obaw, jakie żywię jako historyk wobec „polityki historycznej”, zarówno *in abstracto*, jak w kontekście jej obecnej realizacji. Sądzę, że pismo akademickie może udostępnić łamy dla takiego tematu – zwłaszcza że „polityka historyczna” zajmuje coraz więcej miejsca w działalności historyków-naukowców. Oczekuje się od nas aktywności w takim kierunku. W Instytucie Pamięci Narodowej, czyli głównym realizatorze owej polityki, pracuje wielu liczących się historyków-naukowców; także ich orientacja nie jest obojętna dla środowiska. Postanowienia podejmowane w zakresie nazw ulic, czyli typowe dla „polityki historycznej”, konsultuje się ze środowiskami uczelnianymi. Tak przynajmniej podała prasa.

Pierwszy mój niepokój płynie z pomieszania ról historyka oraz polityka przy realizacji „polityki historycznej”. Polityka pozostaje polityką – nawet jeśli historyczną. Oczywiście, jeśli ktoś – także historyk – chce być politykiem, to jego wybór, ale niech wtedy nie udaje, że jest naukowcem. Może z dorobku nauki korzystać, ewentualnie może do nauki kiedyś wrócić, ale niech nie udaje, że jest w niej w tym samym czasie aktywny. To są role niekompatybilne. Z kolei historyk-naukowiec najczęściej ma jakieś sympatie polityczne – ale raczej powinien starać się zmniejszać ich wpływ na własną pracę, nie zaś świadomie i celowo służyć jakiemuś kierunkowi w swoich badaniach. Znane przykłady mieszania historiografii i polityki były na tyle fatalne, że powinny skutecznie przed tym przestrzegać.

„Polityka historyczna” przyznaje wielką rolę państwu. Jasne, że pewną rolę musi ono spełniać. Na badania i rozpowszechnianie wiedzy płyną pieniądze z budżetu, mocą państwowej decyzji obchodzi się pewne rocznice itd. Wolałbym jednak, żeby rola państwa w tych sprawach była raczej zmniejszana – i ograniczane pole jego interwencji – niż powiększana.

Mój kolejny niepokój płynie z tego, że „polityka historyczna” nie jest tylko działaniem na rzecz zwiększenia wiedzy historycznej społeczeństwa. Gdyby tak było, to akceptowałbym ją. Owa wiedza jest przecież znikoma, sprowadza się do informacji o paru symbolach, które służą za alfabet komunikacji społecznej. Przez wiele lat prowadziłem zajęcia dla studentów kierunków innych niż historia i wiem, co mówię. „Polityka historyczna” promuje jednak nie wiedzę, lecz określoną, jedną wizję historii, nieraz wybiórczą lub odpowiednio umeblowaną. Kto decyduje, jaka to wizja? Na jakiej podstawie ma być decydowane, jaka wizja obowiązuje, a przynajmniej, jaką się

promuje? Czy na podstawie tego, że nie lubi się jakiegoś polityka i jego tradycji, lubi zaś innego? Dlaczego ma być jedna wizja? W historii znacznie łatwiej powiedzieć, co jest fałszem, niż co jest prawdą. Wizje pozostaną różnorodne i to jest naturalne, nawet – zaryzykuję – pożądane. Jedną wizję historyczną można uzyskać tylko w państwie totalitarnym. W dziejach najnowszych przerabialiśmy już to. Z góry dziękuję.

„Polityka historyczna” zmierza do pokazywania zjawisk i ludzi wyraźnie, jasno, jako dobre/dobrych lub złe/złych, jako czarne/czarnych lub białe/białych. Tymczasem, choć trudno negować, że zdarzają się zjawiska jednoznacznie złe i ludzie jednoznacznie źli, to przecież najczęściej sytuacja nie jest aż tak klarowna. Historyk powinien raczej starać się pokazać niuanse, skomplikowanie, wieloznaczność obrazu, trudność sądu. Powinien pokazać, że w konkretnej sytuacji dany fakt może mieć inne znaczenie niż w innej, że w niektórych sytuacjach nawet relatywnie drobne działanie może urastać do znaczącego czynu i odwrotnie. Powinien starać się zrozumieć, nie osądzać. Historyk nie jest ani prokuratorem, ani sędzią. W wielu wypadkach prawdziwy sąd odbędzie się zresztą nie na tym padole – jeśli oczywiście się odbędzie (w co ja akurat wątpię).

„Polityka historyczna” bardzo wiele zjawisk wyprowadza z ich genezy. Geneza jest oczywiście ważna, ale nie przesądza, a w każdym razie nie musi przesądzać dalszego biegu zjawisk. „Polityka historyczna” jest formą uprawiania mocno tradycyjnej historii. Myśli o chronologicznej faktografii, a nie o zjawiskach. Długie trwanie interesuje ją specyficznie: nie w zakresie zjawisk cywilizacyjnych, lecz zjawisk pozytywnych i negatywnych, np. powoływania z sensem i bez sensu wątku zdrady w dziejach Polski.

„Polityka historyczna” podkreśla potrzebę kulturowania historii jako elementu i zarazem instrumentu kształtowania tożsamości narodu. Pomińmy, że są kraje, które budują tożsamość na innych czynnikach niż historia, albo muszą dopuścić różne wizje historii, także ewolucję wersji kanonicznej, właśnie w imię utrzymania jedności obywateli państwa. Pomińmy, że choć Unia Europejska z pewnością reprezentuje nie tylko same wspaniałe rzeczy, to jednak żaden naród jeszcze nie roztopił się w europejskiej masie. Ciekawsze jest, z czego płynie tak silna potrzeba podkreślania tożsamości w wypadku narodu, który przetrwał tysiąc (teraz dokładniej: 1050) lat? Jeśli zaś traktować historię jako instrument budowania tożsamości, to warto pamiętać, że ewentualnie działa on bardziej poprzez czynienie tych samych spraw ważnymi dla wszystkich niż poprzez jednolitą wizję. Wspólna historia Polaków obejmuje powstania narodowe, ale wcale niekoniecznie takie samo ich widzenie.

„Polityka historyczna” ma tendencję do hagiografii wobec własnego kraju, chce pochwał, nie znosi przypominania faktów nagannych z punktu widzenia długofalowej

► skali wartości lub choćby dziś negatywnie postrzeganych. Grozi stawieniem przed sądem za obrazę narodu. Powtarza wątek o zasadności i potrzebie dumy z dziejów własnego narodu. Otóż nie wiem, czy trzeba być aż dumnym z nich. Osobiście wolałbym postawę pociągającą przemyślenie historii, refleksję, badanie, zwątpienie. Chciałbym, żeby studenci uczyli się nie tyle wielbić własne dzieje, ile dyskutować je w oparciu o zasadne argumenty. To by się im bardziej przydało intelektualnie – *notabene* także w podejściu do współczesności, która jest wszak częścią historii. Dumny z własnych dziejów może być zresztą praktycznie każdy naród, bo każdy znajdzie jakieś własne osiągnięcia.

Zastanawiam się, skąd płynie ta potrzeba ciągłego wzywania do dumy? Obawiam się, że rodzi się z jakichś kompleksów. Jest kompensacją. Tylko skąd te kompleksy? Co chce kompensować naród, który przetrwał tyle prze-

ciwieństw i nie ma więcej powodów do zmartwień niż jakikolwiek inny w okolicach? Czy może nierozsądnie wysoko stawia sobie poprzeczkę?

Ani społeczność, ani człowiek indywidualny, na ogół nie czują potrzeby powtarzania, „jaki jestem wspinały”. Nie myślą wciąż z żalem, że inni ich nie doceniają. W życiu codziennym rzadko akcentujemy, że byliśmy pierwsi, podczas gdy inni to młokosy. Oczywiście, przyjemniej być docenianym niż niedocenianym, ale ciągłe poczucie niedowartościowania jest niepokojące. Nie wiem, czy powtarzanie w ZSRR za Stalina – by sięgnąć do działań nieporównywalnie większej skali – że kolejnych wynalazków faktycznie dokonali Rosjanie, płynęło z samej wielkomocarstwowości, czy z wielkomocarstwowości podminowanej kompleksami. Tak, czy inaczej, było jednak tragiczne – nawet gdy momentami także śmieszne.

MARCIN KULA

Uniwersytet Warszawski (*profesor emeritus*)
Akademia Teatralna im. Aleksandra Zelwerowicza
w Warszawie

Łowcy grantów – listy (cd.)

Od: Iwo Białynicki-Birula – Do: Michał Nawrocki

W odpowiedzi Michałowi Nawrockiemu

Po wyrażeniu mojej opinii (a nie orzeczenia!) nie miałem zamiaru kontynuowania dalszej dyskusji na temat „łowców grantów”, pozostawiając innym pole do działania. Uznałem jednak, że nie mogę pozostawić bez komentarza zarzutów pod moim adresem, które znalazły się w następującym zakończeniu tekstu umieszczonego na forum dyskusyjnym Wydziału Fizyki UW, a następnie wydrukowanego w poprzednim numerze „PAUzy” (337):

Ale musimy walczyć uczciwie i w sposób godny naszego środowiska. Nie możemy pozwolić sobie na ogólne zarzuty i pochopne, często wynikające z braku informacji oskarżenia. Łatwo w ten sposób skrzywdzić i zniechęcić często najzdolniejszych spośród naszych kolegów, łatwo sprowokować, oparte na zawiści, populistyczne reakcje świata zewnętrznego, których skutki mogą być dla nas dramatyczne.

Wyjaśniam mojemu adwersarzowi, że o nic w sposób nieuczciwy i w dodatku niegodny naszego środowiska nie walczę. Nie stawiam też nikomu zarzutów i nikogo

nie oskarżam (od tego jest pan Zbyszek). Mam natomiast szczegółowe informacje, które posłużyły do wyrażenia mojej opinii na temat pewnych patologii w funkcjonowaniu systemu grantowego.

Nie uważam bynajmniej, że pieniądze na badania powinny być rozdawane równomiernie, bo „wszyscy mają jednakowe żołądki”. Pomędzy całkowitą *urawniłową* a finansowaniem uczestnictwa tej samej osoby jednocześnie w sześciu grantach jest jeszcze ogromne pole do manewru. Zwolennikom niczym nieograniczonej kumulacji grantów chcę zwrócić uwagę, że obowiązuje prawo zachowania pieniędzy przeznaczonych na granty. Prawo to działa w ten sposób, że każdemu przypadkowi nadmiernej łapczywości muszą towarzyszyć przypadki osób, które były następne w kolejce i dla których już zabrakło pieniędzy. Nie sądzę, iż osoby te były sześć razy gorsze o naszego rekordzisty. W dodatku nie znaleziono dotąd bezbłędnej metody ustalenia jedynie słusznej kolejności wniosków grantowych.

Tezy o prowokowaniu wrogich „reakcji świata zewnętrznego” gdzieś niedawno już słyszałem. Brakuje tu tylko słówka „donos”.

IWO BIAŁYNICKI-BIRULA

Uniwersytet Warszawski
(*profesor emeritus*)

Od: Leszek Kaczmarek – Do: Iwo Białynicki-Birula i Andrzej Białas

Z uwagą, ciekawością, ale i z zaskoczeniem przeczytałem teksty Panów w ostatniej „PAUzie”: *POD ROZWAGĘ NCN-owi* oraz *HORRENDUM!*. Zaskoczenie wynika z wrażenia, że sądzą Panowie Profesorowie, iż kierowanie więcej niż jednym projektem badawczym, czy też udział w więcej niż jednym projekcie jest niewłaściwe. Co prawda Prof. Białas zwraca uwagę, że może tu chodzić (tylko?) o młodych badaczy, ale nie jest to jednoznaczne rozróżnienie. Pozwalam zatem sobie przedstawić odmienną opinię.

W mojej dziedzinie (możemy ją określić nawet dość szeroko jako biomedycynę) dobre zespoły w świecie zawsze realizują kilka projektów, zwykle niezależnie finansowanych (zgodnie z zasadą: never put all your eggs into one basket). Kierowanie kilkoma projektami jest przeto normą. W Polsce jest to tym bardziej uzasadnione częstymi formalnymi i mentalnymi ograniczeniami wysokości finansowej grantów. Trzeba

zauważyć, że taki dobry zespół musi zapewnić środki na zatrudnienie zdecydowanej większości pracowników i doktorantów oraz stworzyć im sprzętowe i odczynnikowe warunki pracy bieżącej, czy też dostęp do unikatowej aparatury i często zwierząt laboratoryjnych.

Jeśli wśród młodych badaczy pojawi się ktoś tworzący taki zespół (a byłoby to świetne), to nic dziwnego, że tak postępuje. Zwykle powinniśmy obserwować jednak sytuację odmienną. Młody badacz pracuje w zespole kierowanym przez mentora i to ów mentor jest odpowiedzialny za zapewnienie warunków pracy, która skądinąd powinna być skoncentrowana na wybranym zagadnieniu, góra dwóch. W takim przypadku rzeczywiście nie ma powodu do realizowania kilku projektów, a zwłaszcza kierowania nimi. A jeśli idzie o NCN, to aktualne regulacje dotyczące zatrudniania i wynagradzania znakomicie ograniczają tego typu postępowanie.

LESZEK KACZMAREK

Instytut Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego PAN

„Łowcy grantów” – czy jest to „horrendum” i patologia?

W nawiązaniu do dwóch krótkich artykułów, które ukazały się w numerze 335 „PAUzy Akademickiej”, autorstwa Profesora Iwa Białynickiego-Biruli (*Pod rozwagę NCN-owi*) oraz Profesora Andrzeja Białasa (*Horrendum!*), chciałbym przedstawić polemikę na poruszony w nich temat, prezentując mój nieco inny punkt widzenia. W obu artykułach przedstawiona jest zdecydowana krytyka (nazywana „patologią”, „nadużyciem”, „horrendum”) istnienia grupy naukowców, nazwanej „łowcami grantów”, która realizuje jednocześnie kilka grantów. Jako naganny podawany jest przykład osoby będącej jednocześnie wykonawcą w sześciu grantach i kierującej dwoma z nich.

Zastanawia mnie, dlaczego ten fakt został tak jednoznacznie skrytykowany, szczególnie pod względem moralnym? Zgadzam się bowiem z taką krytyką wyłącznie pod jednym warunkiem, mianowicie, że wszystkie te granty zostały uzyskane na realizację dokładnie tych samych badań. Jeśli tak jest, to faktycznie mamy do czynienia z zachowaniem nieetycznym. Jednakże jeśli każdy z sześciu (w tym przypadku) grantów dotyczy innych i znacząco różnych merytorycznie tematów, to dlaczego uzyskanie funduszy na realizację kilku różnych projektów naukowych miałoby być naganne? Jeśli ta (czy też inna) grupa badawcza jest w stanie realizować jednocześnie kilka grantów i uzyskiwać w nich znaczące rezultaty naukowe, poparte publikacjami w czasopiśmie lub wydawnictwach wysokiej rangi, to chwała jej za to! Znaczy to bowiem tyle, że mamy w kraju zespoły naukowe potrafiące efektywnie i z dużym zaangażowaniem prowadzić prace badawcze i uzyskiwać istotne rezultaty. Czy to jest złe?

Rzecz jasna, z efektów realizacji każdego grantu grupa ta – a konkretnie kierownik projektu – musi być rzetelnie i konsekwentnie rozliczana, tak zresztą jak rozliczać powinno się efekty każdego innego projektu, co – nawiasem mówiąc – Narodowe Centrum Nauki od pewnego czasu zaczęło robić (przekonałem się o tym niedawno jako prorektor ds. nauki, gdy moja uczelnia musiała zwrócić całość środków przyznanych na realizację grantu plus ustawowe odsetki, gdyż raport końcowy jednego z projektów został negatywnie oceniony pod względem merytorycznym). Jeżeli jednak ktoś

potrafi uzyskać w drodze uczciwego konkursu kilka grantów i efektywnie je realizować w tym samym czasie, to uważam to za zjawisko pozytywne, a nie negatywne. Oznacza to bowiem, że udało się stworzyć silną grupę badawczą, która ma szansę „zaistnieć naukowo” nie tylko na polu krajowym, ale też międzynarodowym. Uważam, że ograniczanie takiej grupie możliwości prowadzenia większej liczby różnych grantów jednocześnie byłoby dużą szkodą dla rozwoju nauki w naszym kraju. W ten sposób można blokować możliwości rozwoju naukowcom, którzy są w stanie pracować bardziej efektywnie od innych. Zresztą osobiście ubolewam nad wprowadzonym przez NCN ograniczeniem liczby grantów (do trzech), którymi może jednocześnie kierować jedna osoba. Jeśli ktoś jest w stanie efektywnie (to bardzo ważne – EFEKTYWNIE !!!) prowadzić badania w sześciu różnych tematach, to dlaczego mu na to nie pozwolić? Nie przemawiają do mnie argumenty, że „tego się nie da zrobić”. Nie da się w przypadku większości, ale wiem, że istnieją grupy badawcze (owszem, nieliczne, ale jednak istnieją), które dają radę to robić. Dlaczego zatem mamy hamować tych najlepszych? Dążenie do uśredniania – a w ten sposób automatycznie do ograniczania – wszystkiego (w tym liczby projektów, w których można brać udział) powoduje hamowanie możliwości rozwoju jednostkom wybitnym. Pamiętajmy, że tak jak w przyrodzie, tak i w populacji naukowców, rozkład ilościowy przyjmuje kształt krzywej Gaussa: jest trochę słabych naukowców, jest bardzo duża grupa średnich, ale też są nieliczni szczególnie znakomici. Według mnie tych ostatnich powinno się zdecydowanie wspierać, a nie próbować hamować, próbując na siłę dopasować ich do średniej, czemu służą wszelkie odgórne ograniczenia. Przecież jeśli ktoś uzyska kilka grantów jednocześnie i nie będzie umiał ich efektywnie zrealizować, to następnych już nie dostanie! Ryzyko, że „łowcy grantów” (pod warunkiem, że działają uczciwie, a nie próbują oszukać istniejący system, aby zdobyć kilkukrotne finansowanie tego samego) będą stanowić jakiegokolwiek zagrożenie dla nauki jest wyjątkowo niewielkie, za to szansa, że wśród tych „łowców grantów” są naukowcy wybitni, albo mający szansę takimi się stać, jest stosunkowo duża.

GRZEGORZ WĘGRZYN

Prorektor ds. Nauki Uniwersytetu Gdańskiego
Członek korespondent PAU

Dlaczego nie chcę być łowcą grantów

Z zainteresowaniem prześledziłem dyskusję nt. „łowców grantów”, która odbyła się na łamach „PAUzy Akademickiej”. Jako młody naukowiec i, *volens nolens*, „łowca” chciałbym przedstawić moją perspektywę. Aby nie być poświadczonym o resentment, nadmienię, że sam byłem kierownikiem jednego grantu i wykonawcą w dwóch innych.

Zgadzam się z oceną, iż realizacja kilku grantów naraz negatywnie wpływa na jakość nauki. Nie oznacza to oczywiście, że każdy, kto realizuje kilka projektów jednocześnie, jest na bakier z etyką. Słusznie zauważa prof. Hołyst („PAUza Akademicka” 336), iż jeden badacz może z powodzeniem prowadzić 6 grantów, podczas gdy inny nie da sobie rady nawet z jednym. Nie uważam jednak, żeby można było na tej podstawie stwierdzić, że ten pierwszy jest lepszym naukowcem od drugiego – to raczej wypadkowa zdolności, umiejętności prezentacji, popularności danej dziedziny i po prostu szczęścia.

W łowieniu grantów można się wyćwiczyć i jest ważne, aby naukowcy umieli „sprzedać” swoje badania. Dopóki stanowi to dodatek do pasji naukowej, to tylko się cieszyć. Gorzej, gdy robi się z tego sztuka dla sztuki. Kluczowe jest tutaj rozróżnienie pomiędzy nauką jako taką, a karierą naukową. Trafnie podsumował je prof. Andrzej Kajetan Wróblewski w odpowiedzi na larum dotyczące niewielu polskich sukcesów w konkursach ERC: „Celem nauki nie jest zdobywanie grantów, lecz poszukiwanie prawdy o świecie”.

W zamyśle powinno być tak, że człowiek ma pomysł i następnie występuje o grant, który umożliwi mu jego realizację. W praktyce często dostosowuje się projekt do wytycznych konkretnego programu. Łagodna wersja oznacza, że spośród wielu pomysłów wybiera się ten, który ma największą szansę sukcesu, rezygnując z odważniejszych i bardziej ryzykownych. Wariant ekstremalny oznacza „granciarstwo” jako pracę na pełen etat. Jego jaskrawym przejawem była niedawna afera dotycząca wyłudzenia milionów złotych z NCN.

Taki stan rzeczy nie wynika bynajmniej z merkantylizmu młodych naukowców. Chyba nikt, kto obiera ścieżkę naukową, nie kieruje się względami finansowymi. Pensje naukowców są niskie i to nie tylko na tle krajów zachodnich. Jeśli, jak ostatnio usłyszałem w radiu, lekarze postulują, aby młody medyk po stażu zarabiał 3 średnie krajowe, to dlaczego doktor matematyki czy historii miałby dostawać 10 razy mniej?

Jest tajemnicą poliszynela, iż większość naukowców w Polsce dorabia na boku. Zwykle mówi się o tym w kontekście wieloletowości i prowadzenia zajęć poza uczelnią macierzystą. Jednak równie niepokojącym zjawiskiem jest dorabianie do pensji z grantów. W Polsce utrwalił się dziwny pseudokapitalistyczny system, w myśl którego naukowcy mogą mieć niskie pensje podstawowe, bo ci zdolni dobijają sobie z projektów.

W początkowej fazie kariery bardzo dużo zależy od zdolności „łowczych” promotora. Nawet w indywidualnym grantcie *Preludium* NCN liczy się dorobek szefa (tu widać dobrą tendencję – tylko 10% punktów w edycji 11 wzglę-

dem 20% w edycji 5). Świeżo upieczeni magistry będą więc szukać raczej takiego promotora, który umożliwi im błyskotliwą karierę naukową, niż takiego, który robi ciekawe z ich punktu widzenia, ale mało popularne badania. Oczywiście, to tylko tendencja – są szczęśliwcy, którzy pogodzą pasję naukową z karierą, jak i tacy, którzy postawią na niszowe dziedziny mimo wszystko. Niestety, dla tych drugich nierzadko będzie to oznaczać być albo nie być w nauce po kilku latach zmagania.

Uzyskanie grantu w dużym stopniu determinuje możliwość prowadzenia badań. Doktorant bez dodatkowych apanaży niewiele może: matematykom brakuje na wyjazd, biotechnologom na odczynniki, a filologom nawet na materiały biurowe. Zastryk finansowy z grantu umożliwia w miarę normalne funkcjonowanie na równi z kolegami z Zachodu.

Po pierwszym projekcie, wszystko jedno czy własnym, czy od promotora, jest już prościej. Obowiązuje proste prawo serii: żeby dostawać granty, trzeba dostawać granty. Bo granty w Polsce przydzielane są w nagrodę. O ile w *Preludium 11* dorobek kierownika to tylko 10% oceny, to w *Sonacie* już aż 40%. Zaś w ministerialnym programie *Iuventus Plus* młody adept nauki jest najpierw brutalnie przeliczany na punkty, a meritum jego projektu gra rolę dopiero w drugim etapie.

Nic zatem dziwnego, że istnieje silna korelacja pomiędzy „dobrym łowcą” a „dobrym naukowcem”. Skuteczni łowcy po prostu mają dużo większe możliwości, a pierwsze udane polowanie daje im fory.

Jestem daleki od twierdzenia, że wszystkim naukowcom należy dać po równo z państwowej kasy. Powinno się wprowadzać zasady zdrowej konkurencji i oceniania „po owocach”, ale trzeba przy tym pamiętać, że sama publikacja to jeszcze nie owoc, a rzeczywisty „impact factor” danych badań często można ocenić dopiero z perspektywy czasu. Warto zachęcać naukowców do podejmowania odważnych projektów, wkalkulowując w to fakt, że część z nich okaże się ślepym zaułkiem.

Jak to zrobić w praktyce? Zmienić system u samych podstaw. Chwalimy się wysokim odsetkiem studentów i doktorantów, ale, jak pokazuje choćby ostatni raport NIK nt. studiów doktoranckich, nic dobrego z tej masowości nie wynika, ani dla naukowców, ani dla finansującego ich społeczeństwa. Na studia doktoranckie (magisterskie zresztą też) powinno być trudno się dostać, na asystenturę jeszcze trudniej, a profesura winna być udziałem jedynie najwybitniejszych. Ale tym, którzy już dostaną pracę na uczelni, zapewnimy godziwe honoraria i odpowiednie zaplecze do prowadzenia badań. Do tego stwórzmy nagrody dla wybitnych i niech będą one wysokie. Konkursy grantowe oczywiście nadal powinny istnieć, ale niech to będą faktycznie pieniądze na badania: zakup aparatury, współprace międzynarodową, zarządzanie projektem czy zatrudnianie nowej kadry – jednak już bez dodatkowych honorariów za pracę naukową. Wówczas, jeśli ktoś da radę prowadzić kilka projektów naraz, to tylko mu przyklasnąć i dać nagrodę za pracowitość.

MICHAŁ ECKSTEIN

Instytut Fizyki
Uniwersytet Jagielloński

Od: Jerzy Jedliński – Do: Andrzej Białas

Szanowny Panie Redaktorze,

chciałbym, najkrócej jak potrafię, skomentować zamieszczone w numerze 335 „PAUzy Akademickiej” dwa teksty w sprawie „łowców grantów”.

Zgadając się z etycznym wymiarem oceny przedstawionej przez Autorów, sądzę, że powstała sytuacja jest jedną (nie jedyną) konsekwencją braku czytelnej, spójnej, stabilnej, czyli wieloletniej, monitorowanej i – w oparciu o efekty monitorowania, a nie inne czynniki – aktualizowanej strategii finansowania nauki.

Ocena dotychczasowych działań ludzi odpowiedzialnych w państwie za tę materię musi być surowa. Obserwujemy bowiem:

1. brak profesjonalnego podejścia do procesu tworzenia takiej strategii, co skutkuje powierzchownością oraz daniem sygnałów ogólnikowych (np. sygnał „stawiamy na inno, bio, techno i nano” – rodzi się pytanie, czy do takiego wniosku potrzebne są jakiegokolwiek opracowania i wydawanie na nie pieniędzy publicznych?);
2. krótkowzroczność i inercja decydentów – brak wizji oraz zdolności szybkiego reagowania w sprawach tego wymagających (np. efektywnych ścieżek specjalnych szybkiego finansowania i wsparcia organizacyjnego, gdy jest szansa na osiągnięcie ważnych efektów);
3. marnowanie potencjału środowiska – kusi zapytać: jakie były konkretne efekty zaangażowania dużej jego części w opracowanie Narodowego Programu „Foresight Polska 2020”, i tak spóźnionego o co najmniej dwa lata (powinniśmy z takim programem wchodzić w *Perspektywę 2007–2013* i rozdzielać środki unijne w zgodzie z jego wskazaniem, a tak nie było) – chodzi o przełożenie zawartości i wniosków na sposób finansowania i organizacji działań naukowo-badawczych, np. czy w recenzjach wniosków grantowych, badawczych lub aparaturowych, odwoływano się do tego opracowania);
4. brak koordynacji pomiędzy różnymi dysponentami środków na rozwój (administracja publiczna – centralna i samorządy, sektor przedsiębiorstw i biznesu), co zmniejsza znacznie efektywność oraz zwiększa ryzyko zmarnowania środków;
5. podatność decydentów na lobbing części środowisk czy grup naukowych, prowadząca do zjawiska nieuzasadnionego faworyzowania jednych względem drugich.

Na osobne podkreślenie zasługuje stosowanie półśrodków lub rozwiązań prowizorycznych oraz wątpliwej jakości w zarządzaniu czy w reagowaniu na zgłaszaną krytykę. Dwa przykłady z agendy rządowej, czyli Narodowego Centrum Nauki:

1. motywowane słusznym celem, czyli zburzeniem szkodliwych układów hermetyzujących dostęp do środków, ustalenie niewielkiej liczby paneli dziedzinowych przez NCN doprowadziło do nierzadko katastrofalnego obniżenia jakości recenzji – bywa, że opracowujący je mają błędy lub żadne pojęcie o recenzowanej materii, choć są zaszeregowani do wspólnego panelu (częsta opinia w środowisku), a procedura odwoławcza praktycznie nie działa;
2. ostatnio wprowadzone ograniczenie środków na wynagrodzenia dla prowadzących i realizujących granty na uczelniach i w instytutach naukowych, o czym niżej.

Ograniczenie środków na wynagrodzenia łączy się ściśle z tematem omawianych tekstów i ma – zapewne – być antidotum na traktowanie grantów głównie w kategorii dodatkowego źródła dochodu oraz przedstawioną wyżej

w pkt (1) patologię. Uważam jednak, że środowisko naukowe powinno zabiegać, by stało się ono – w nieco zmodyfikowanej formie – elementem kompleksowego rozwiązania, polegającego na tym, iż: – po pierwsze: wynagrodzenia w naszej sferze ulegają podniesieniu o czynnik 1,5–2,0 (w zależności od zarobków aktualnych i stanowiska oraz jakości pracy), a dla najniższej zarabiających – nawet o czynnik nieco większy; – po drugie: w grantach NCN nie ma wynagrodzeń dla etatowych pracowników uczestniczących w działalności naukowo-badawczej uczelni i instytutów, są natomiast na zatrudnienie doktorantów lub młodych pracowników, niebędących formalnie doktorantami, i na przepływy między jednostkami (np. za użyczenie/użytkowanie urządzeń i aparatury). Samo ograniczenie, bez wspomnianego zwiększenia wynagrodzeń, przynosi jedynie dotkliwe, wobec aktualnych zarobków w naszym sektorze, i – dla większości – niezasłużone, skutki.

Jestem przekonany, iż natychmiast odezwą się głosy, iż nas na to nie stać. Zdecydowanie się z tym nie zgadzam. Wręcz przeciwnie – po krótkim okresie przejściowym – proponowane rozwiązanie przyczyni się do zgłaszania wniosków grantowych przez mających rzeczywistą potrzebę prowadzenia badań i rozwoju naukowego, a nie przez szukających źródła dodatkowego dochodu. W konsekwencji, w bardzo niedługim czasie, po chwilowych i niewielkich wahaniach, środki potrzebne na proponowane przeze mnie rozwiązanie będą zbliżone do wydawanych sumarycznie na wynagrodzenia oraz granty. Podkreślę jeszcze, że:

1. w tzw. przestrzeni publicznej są tak duże rezerwy środków, że wspomniane wahania nie są istotne z punktu widzenia finansów państwa, zatem jakiegokolwiek zahamowania naszego środowiska w tej materii nie są uzasadnione;
2. niezmiennie uważam, że trzecim elementem kompleksowego rozwiązania powinno być rzeczywiste, a nie pozorowane, zwiększenie środków publicznych, przeznaczonych na rozwój sfery naukowo-badawczej i edukacji wyższej, połączone z profesjonalizacją zarządzania tą sferą.

Nie dotykam tu grantów NCBiR, ale i w tej materii można przyjąć podobne rozwiązanie z modyfikacją – na przykład – uelastyczniającą system dla projektów osiagających wyższy poziom gotowości wdrożeniowej (TRL, wg 9-stopniowej kategoryzacji). To wymaga szerszej analizy i uwzględnienia specyfiki obszarów: w niektórych (IT, ICT) osiągnięcie poziomów 7–9 jest łatwiejsze, a w innych już poziomy 5–7, a nawet 4, wymagają uruchomienia ogromnego potencjału oraz współpracy z sektorem przemysłowym i – dlatego – powinny być uznawane za duże osiągnięcie, a zatem – także odpowiednio potraktowane od strony finansowej.

Przedstawione uwagi i ramowa propozycja mogą być jednymi z założeń dla – o ile mi wiadomo – opracowywanej obecnie strategii w dziedzinie nauki, traktowanej jako element strategii rozwoju kraju. O zaproponowanych współczynnikach można dyskutować, ale jestem absolutnie przekonany, iż tylko szeroka, uwzględniająca proponowane rozwiązanie perspektywa zasługuje na miano rozwiązania pełnego, służącego rozwojowi. Sądzę także, iż sprawa jest na tyle pilna, że nie musi czekać na końcową wersję opracowywanej strategii. Na wstępie potrzeba tylko (łącznie!) mobilizacji, odwagi, determinacji i solidarności naszego środowiska, by przekonywać decydentów do jej przyjęcia i podjęcia odpowiednich działań.

Z poważaniem,

JERZY JEDLIŃSKI

Akademia Górniczo-Hutnicza

Kilka uwag o systemie grantowym

Panowie Profesorowie Iwo Białynicki-Birula i Andrzej Białas podjęli ważny temat. Polemika, jaką wywołali, o tym świadczy. Dlatego pozwalam sobie także na krótką opinię.

Zacznę od przypomnienia, że system grantowy miał ustanowić w kraju konkurencyjność jako podstawę finansowania nauki. Od początku wyrażano pogląd, że to się może udać pod warunkiem wyraźnego zwiększenia nakładów na badania naukowe. Wiemy, że tak się nie stało. Obserwujemy zatem – w moim przekonaniu – krach tego systemu. Wprawdzie o NCN słyszałem wyłącznie dobre lub bardzo dobre opinie, ale w sumie sytuacja, w której szansa na uzyskanie grantu jest rzędu 10%, nie jest podstawą systemu finansowania, a raczej jego dekoracją.

Zgadzam się z polemistami, że uzyskanie grantu jest w większości sytuacji warunkiem prowadzenia badań na odpowiednim poziomie doświadczalnym (w teoretycznych pracach może tak nie być?). Jednak uzyskiwane fundusze nie zawsze są w tym kierunku prowadzone. Znam kilka przypadków, gdy bardzo znacznym wydatkiem były płace. I wtedy piękne argumenty za możliwościami uzyskiwania większej liczby grantów stają w fałszywym świetle. Ponoć rekordowym (?) wynikiem było uzyskanie zarobków ponad pół miliona PLN przez jedną osobę w ciągu roku (wyłącznie ze źródeł budżetowych na badania naukowe). Nie znam szczegółów, ale zdaje się, że to się uzyskuje nie tylko bezpośrednio z funduszy grantowych, ale również w formie rozmaitych

nagród czy premii od zatrudniającej instytucji (za to właśnie, że zdobyło się granty).

Nie jestem przeciwnikiem wysokich zarobków w nauce! Wręcz odwrotnie. Ale powinno się to odbywać w ramach przyzwoitości. A tego już nie będę objaśniał...

Chciałbym jak najmocniej poprzeć apele prof. Białasa o odnowę moralną, o zastosowanie reguł pięknie wykładanych przez prof. Macieja W. Grabskiego. I zaapelować o pełną jawność systemu grantowego. Aby każdy mógł się dowiedzieć, kto i na jakie zadania uzyskał grant, a także na co wydatkowano przyznane fundusze i jakie uzyskano wyniki. To nie jest trudne, wymaga tylko determinacji po stronie zarządzających nauką w kraju.

Na zakończenie jeszcze taka drobna uwaga w sprawie grantów dla młodych pracowników nauki. Wiem, że są instytucje, które zwalniają młodych adiunktów, nieskutecznych w staraniach grantowych. Czasem tylko dlatego, że w systemie zabrakło funduszy i pomimo pełnej pozytywnej oceny. Czemu nie skorzystać z doświadczeń zagranicznych? W Australii tacy wnioskodawcy dostają grant „na przeżycie” na jeden rok, by mogli spróbować ponownie i nie wypaść z obiegu po jednym niepowodzeniu.

Wreszcie nie chciałbym, aby moje uwagi traktować jako adresowane do osób, które w tej sprawie zabrały głos w „PAUZie”. Idzie o funkcjonowanie systemu, nie o personalia.

JANUSZ LIPKOWSKI

Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie,
Wydział Matematyczno-Przyrodniczy, Szkoła Nauk Ścisłych



Wydawnictwo PAU poleca...

Sesja naukowa, której rezultaty są zebrane w tym tomie, odbyła się w dniu 9 grudnia 2015, czyli dokładnie 200 lat od chwili utworzenia Towarzystwa Naukowego Krakowskiego. I chociaż dla współczesnych 9 grudnia 1815 nie wydawał się zapewne dniem o przełomowym znaczeniu, to jednak okazał się on datą niezwykle ważną. Był to bowiem początek najbardziej skutecznej próby podjęcia – w kraju rozdartym przez zaborców – doniosłego procesu budowy polskiego środowiska naukowego. Nie była to próba jedyna, ale późniejsze, znane nam dobrze meandry historii, spowodowały, że ta właśnie okazała się najbardziej brzemnienna w skutki.

Towarzystwo Naukowe Krakowskie oparło się skutecznie próbom germanizacji, aby – w sprzyjającej koniunkturze historycznej – przekształcić się w Akademię Umiejętności, której największym sukcesem było zjednoczenie, w jednej instytucji, polskich uczonych ze wszystkich trzech zaborów. To wielkie historyczne osiągnięcie zaowocowało światowym poziomem wyników badawczych, co stało się z kolei mocnym fundamentem dla budowy polskiej nauki w Odrodzonej Rzeczypospolitej, gdzie Polska Akademia Umiejętności miała odegrać pierwszoplanową rolę.

(Fragment ze wstępu)

The Bug Letter

Zwierzałem się już Czytelnikom wielokrotnie, że nie posiadam telewizora i wszystkie moje bieżące wiadomości pochodzą z radia, które zazwyczaj włączam przy śniadaniu i przy kolacji. Chociaż więc moja znajomość obyczajów tzw. elity politycznej jest dość ograniczona, to jednak mam pewne pojęcie o sposobie formułowania wypowiedzi przez naszych polityków, a także urzędników wysokich szczebli. Zaobserwowałem jedną stałą regułę: dobry polityk lub urzędnik NIGDY nie odpowiada na pytanie zadane mu przez rozmówcę (którym na ogół jest dziennikarz prowadzący rozmowę lub inny polityk). Zamiast odpowiadać na zadane pytanie mówi po prostu to, co ma z góry przygotowane. To oczywiście stara, dobrze dopracowana taktyka, która nie pozwala adwersarzowi na zdobycie przewagi, a równocześnie umożliwia przedstawienie własnych tez możliwie szeroko i w dobrym świetle. To, że czytelnik lub słuchacz nie dowie się wiele z takiej rozmowy, nie ma znaczenia. Chodzi przecież właśnie o ukrycie niewygodnych faktów lub motywów, ewentualnie o uniknięcie konieczności przyznania się do braku dobrej znajomości przedmiotu rozmowy.

To wszystko wydaje mi się całkiem zrozumiałe. Nie każdy w końcu ma wystarczająco szybki refleks, pozwalający natychmiast odpowiedzieć na niespodziewane pytanie. Nie każdy potrafi mieć w głowie wszystkie szczegóły problemu, o którym mowa. Wreszcie nie wszystko można w każdym momencie ujawnić.

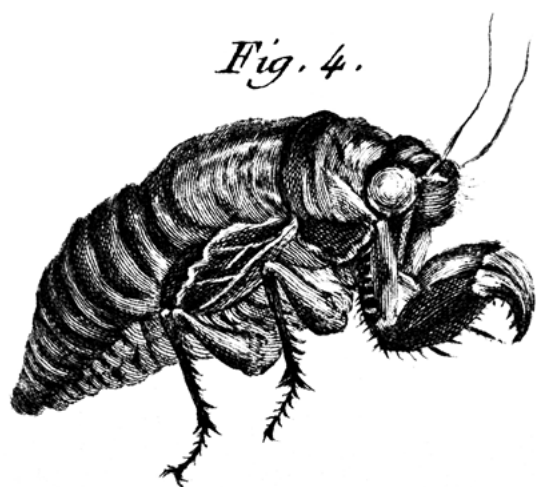
Jednak przyzwyczajenie staje się – jak wiadomo – drugą naturą. I podobna taktyka jest stosowana – bez potrzeby – nawet w wypowiedziach dla prasy, które nie wymagają przecież szybkiej improwizacji i dopuszczają możliwość spokojnego namysłu. Łatwo to zauważyć w wysokonakładowej prasie. Również „PAUza” kilkakrotnie publikowała korespondencję z różnymi urzędami państwowymi, w tym z urzędami wysokich szczebli (vide choćby poprzedni, 337 numer). Okazuje się, że niemal zawsze czytelnicy otrzymują w odpowiedzi teksty albo bardzo ogólnikowe,

powtarzające znane wszystkim slogany, albo tak zawile, że tylko prawdziwi specjaliści od tzw. języka urzędowego potrafią się zorientować, co autor miał na myśli. Najczęściej zresztą okazuje się, że nic nie miał na myśli, a jedynie niedbale wykonał swój obowiązek zareagowania na doniesienie prasowe. Najwidoczniej liczy na to, że nikt jego tekstu dokładnie nie przeczyta, a jeżeli nawet przeczyta, to nie zrozumie i wyrzuci do kosza. Zabawne jest to przekonanie, że pisze się do „ciemnej masy”, która nie będzie w stanie ocenić poziomu intelektualnego autora. Przy tym doprawdy trudno zrozumieć, dlaczego ludzie, którzy w zasadzie wiedzą, że kontakt z szeroką publicznością jest podstawą ich bytu politycznego, decydują się tę publiczność tak jawnie lekceważyć. W miarę poprawna jest jedynie forma: dzisiaj odpowiedzi są zazwyczaj utrzymane w uprzejmym tonie.

Co przypomina mi bardzo starą amerykańską historię. Podróżujący luksusowym wagonem sypialnym pewnej renomowanej firmy został dotkliwie pogryziony przez pluskwy (co wskazuje, że opowieść jest naprawdę stara, bo dotyczy okresu przed wynalezieniem DDT). Poszkodowany napisał więc odpowiednią skargę do dyrekcji. Po pewnym czasie otrzymał bardzo uprzejmą odpowiedź, w której dyrektor wyraża głębokie ubolewanie z powodu tego okropnego wydarzenia, które zdarzyło się po raz pierwszy w historii firmy. Przepraszając gorąco pasażera za zaistniałą sytuację, dyrektor zapewnia również, że firma dołoży wszelkich starań, aby tak nieprzyjemny przypadek nigdy się już nie powtórzył. I wszystko byłoby wspaniale, gdyby z koperty nie wypadła, zaplątana przez niedopatrznie, mała karteczka z notatką: „Send him the bug letter”.

Mając dość bliski kontakt z redakcją „PAUzy”, mogłem sprawdzić, że – jak dotąd – w nadesłanych listach żadnej kompromitującej karteczki nie było. Ewidentnie, pracownicy naszych ministerstw i urzędów centralnych skrupulatnie sprawdzają zawartość ekspediowanych przesyłek.

ABBA



Z dzieła:

Pierre Joseph Buchoz, *Premiere centurie de planches enluminées et non enluminées représentant au Naturel ... les animaux, les vegetaux et les minéraux*, A Paris 1775–1781.
Miedzioryt, Gabinet Rycin PAU, alb. 11, fragment ryciny 77.

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Aleksander Koj, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Jerzy Vetulani, Marta Wyka, Jerzy Wyrozumski, Jakub Zakrzewski, Franciszek Ziejka.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Kobos, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31–016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.



Kraków – warto wiedzieć

Disce puer Latine!

W czasie ostatniego Walnego Zgromadzenia członków Polskiej Akademii Umiejętności podjęto uchwałę dotyczącą nauczania języka łacińskiego w Polsce. Stwierdzono w niej, iż w wyniku podjętych w Polsce w ostatnich latach reform język łaciński jest eliminowany z programów nauczania w szkołach wyższych. Niemal całkowite usunięcie łaciny z programów szkół średnich i radykalne ograniczanie nauki tego języka na wyższych uczelniach powodują ogromne straty w edukacji polskiej młodzieży. Język łaciński był od wieków fundamentem wielkiej, uniwersalnej tradycji kulturowej oraz warunkiem więzi intelektualnej wszystkich dziedzin wiedzy z zachodnim kręgiem cywilizacyjnym, gdzie łacina wciąż zajmuje ważne miejsce w programach nauczania. Dlatego Walne Zgromadzenie PAU zwróciło się z apelem do wszystkich kompetentnych osób i instytucji o podjęcie skutecznych działań w celu przywrócenia nauczania języka łacińskiego i wiedzy o kulturze antycznej.

– Nie trzeba chyba nikogo przekonywać, że antyk, rozumiany jako całość starożytnej kultury grecko-rzymskiej, odegrał niezwykle ważną rolę w formowaniu i rozwoju cywilizacji europejskiej. Z drugiej jednak strony świadomość, że jesteśmy spadkobiercami owego antycznego dziedzictwa kulturowego, staje się obecnie udziałem coraz mniejszej liczby ludzi – mówi prof. Stanisław Stabryła, przewodniczący Komisji Filologii Klasycznej PAU, b. wieloletni kierownik Katedry Filologii Klasycznej UJ – i pyta, czy jednak klasycyzm nie może nam już niczego ofiarować, czy koniecznie musimy pozwolić mu umrzeć? A przecież stworzone przez myślicieli greckich i rzymskich hierarchie wartości moralnych, zmodyfikowane przez chrześcijaństwo, tworzą niepodważalny kanon etyczny.

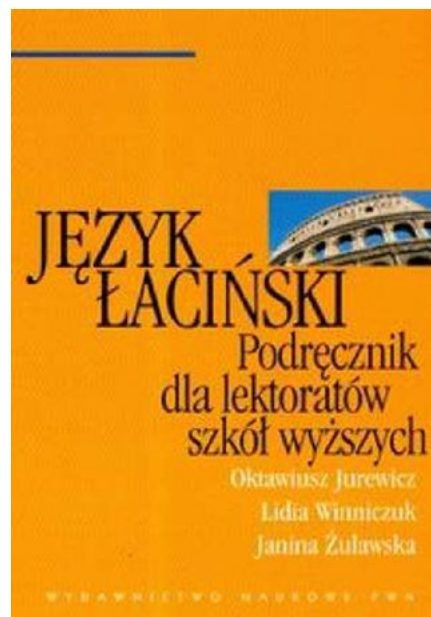
Kryzys nauczania języków i kultury antycznej w naszym systemie szkolnym na poziomie średnim fatalnie odbił się na ogólnym poziomie wykształcenia humanistycznego. Okazało się, że nawet uczniowie szkół ponadpodstawowych mają poważne trudności ze zrozumieniem łatwych tekstów literackich. Studenci wydziałów humanistycznych nie rozumieją popularnych terminów pochodzenia grecko-łacińskiego, najprostszych wyrażeń czy powieździeń łacińskich zakorzenionych w polszczyźnie, wykazują elementarne braki w ogólnej kulturze humanistycznej.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w roku 1918 języki grecki i łaciński zajmowały czołową pozycję w programach gimnazjów klasycznych, w zmniejszonym zakresie w gimnazjach humanistycznych – przypomina prof. Stabryła. Gimnazjum okresu międzywojennego za główne zadanie przyjęło również przygotowanie młodzieży do podjęcia studiów wyższych. Funkcja edukacyjna szkoły średniej w II Rzeczypospolitej sprowadzała się w istocie do rozwijania dyspozycji intelektualnych przyszłych kandydatów na studia uniwersyteckie lub politechniczne.

Narzucona po 1945 roku w Polsce władza komunistyczna uznała, że kultura i języki klasyczne stanowią bardzo mocne ogniwo łączące nasz naród z cywilizacją zachodnią, w której tworzeniu i rozwijaniu uczestniczył od dziesięciu stuleci. Zadaniem ówczesnych władz oświatowych stało się więc jak najszybsze zniszczenie w Polsce tradycji klasycznej, odcięcie od kultury Zachodu. Tymczasem

kultura antyczna i klasyczny humanizm cieszą się u nas wciąż niesłabnącym zainteresowaniem społecznym.

Gałęzią kultury antycznej, której wpływu na współczesność niepodobna przecenić, jest z całą pewnością prawo rzymskie. Doskonałość zasad i instytucji prawnych stworzonych przez Rzymian sprawia, że były one i są nadal praktycznym wzorem w systemach legislacyjnych wielu narodów. Zresztą przykładów oddziaływania antyku na inne dziedziny współczesnej kultury jest wiele. Jednym z nich jest język, a mówiąc dokładniej – rozległa sfera terminologii. Języki nowożytne, w tym także polski, zmuszone są sięgać do zasobów leksykalnych łaciny czy greki starożytnej, tzw. języków martwych, aby tworzyć nowe terminy, adekwatne do pojęć powszechnie używanych w międzynarodowym obiegu. Liczba terminów pochodzących z języków klasycznych nieustannie wzrasta we wszystkich dziedzinach współczesnej kultury i nauki.



Fatalna sytuacja języka łacińskiego w naszym szkolnictwie sprawia, iż Polska Akademia Umiejętności organizuje konferencję panelową zatytułowaną *Kryzys nauczania łaciny – kryzys kultury*, która odbędzie się 10 maja (wtorek) 2016 roku o godz. 10 w Małej Auli PAU przy ul. Sławkowskiej 17. Autorami wstępnych wypowiedzi będą profesorowie: Andrzej Borowski, Jerzy Styka, Sławomir Sprawski, Andrzej Fuliński, Arkadiusz Baron, Marek Hermann. Dyskusję poprowadzi prof. Stanisław Stabryła.

Celem dyskusji będzie z jednej strony wskazanie przyczyn coraz powszechniejszego usuwania łaciny i kultury antycznej z dzisiejszych programów nauczania, z drugiej znalezienie sposobów i środków, dzięki którym zostanie przywrócone tym przedmiotom należne miejsce w polskim systemie edukacyjnym. Wówczas w szkołach i na uniwersytetach usłyszeć będzie można znane polecenie: *Disce puer Latine* – ucz się chłopcze Łaciny!